

# Nie jestem ekologiem

*Na zarosniętych ścieżkach...*

Siedziałem kiedyś w knajpie przy piwie, w powietrzu pełno było papierosowego dymu. Za plecami – specjalnie wybrałem takie miejsce – głośny telewizor z filmem o amerykańskich nastolatkach. I właśnie z niego dobiegł mnie głos dziewczęcia, które strofowało kolegę: „No wiesz, w XXI wieku powinniśmy poważnie potraktować ekologię. Jeść wegetariańskie potrawy, nie pić alkoholu, unikać wdychania dymu tytoniowego i wrzucać puszki po coca-coli do specjalnych pojemników”.

Refleksje o tym, że rozmijam się z ekologią nachodziły mnie już wcześniej. Nachodziły mnie, gdy stykałem się z ludźmi, których namysł nad kondycją ekosystemu sprowadzał się do czytania etykietek produktów spożywczych, czy aby nie zawierają one jakiejś pochodnej mięsa. Nachodziły też, gdy w gazetach z ekologią i „zielonią” w tytułach, natrafiałem głównie na dywagacje o zagospodarowaniu plastikowych butelek oraz reklamy szkoleń dotyczących pozyskiwania dotacji na kserokopiarki czy laptopy. Nachodziły, gdy „ruch ekologiczny” nie pomyślał o wznowieniu „Kultury a natury” Jana Gwalberta Pawlikowskiego, za to wypuszczał na księgarski rynek „transcendentalno-holistyczne” popłuczyny po kalifornijskiej wersji buddyzmu lub bzdurne wywody, że gdyby nie konsumpcja hamburgerów, to mielibyśmy na Ziemi ekologiczny raj. Nachodziły i wtedy, gdy widziałem, że demonstracje poświęcone problemom nerek z ferm były kilka razy częstsze i bardziej liczne niż te, które miały zwrócić uwagę opinii publicznej na zagładę miejsc niepowtarzalnych w skali kraju i świata.

Przede wszystkim nachodziły mnie jednak wtedy, gdy słyszałem, że nie powinno się oceniać takich postaw – bo wszyscy jesteście ekologami. A ekologia to przecież różnorodność, taka sama jak w przyrodzie, czyż nie? Gdy miałem 19 lat, to tego typu myślenie postrzegałem jako nie pozbawione sensu. Jednak wraz z każdym kolejnym przeżytym rokiem widziałem tego sensu coraz mniej. Teraz nie widzę go już wcale.

Przez te 10 lat spotkałem chyba zbyt wiele osób, które były żarliwymi wyznawcami kultu pasztetów sojowych. Ale jednocześnie w kwestii obrony dzikiej przyrody prezentowały poglądy godne urzędnika w ministerstwie środowiska, a problem budowy autostrad postrzegały nie przez pryzmat tego, że są to inwestycje barbarzyńskie, lecz w kontekście ich niewystarczającej „ekologiczności” (równie dobrze „ekologiczności” można wymagać od elektrowni atomowej). I nikt im nie powiedział złego słowa, nikt nie przegnał na cztery wiatry – nawet z organizacji uważających się za radykalne. Natomiast wedle poglądów wielu polskich „zielonych”, za „prawdziwych ekologów” nigdy nie zostaliby uznani tacy ludzie, jak Aldo Leopold, Dave Foreman czy Edward Abbey. Choć dokonali oni wspaniałych rzeczy w dziele praktycznej obrony amerykańskiej dzikiej przyrody oraz dla popularyzacji takich idei, to przeciętny polski ekolog patrzyłby na nich spode łba. Bo ze smakiem jedli befsztyki, nie zwracali sobie głowy recyklingiem puszek po wypitym piwie, a nawet zdarzało im się zapolować.

W Stanach Zjednoczonych – mimo ogromnej presji tzw. cywilizacji – wciąż zachowało się wiele terenów dzikich. W Europie natomiast zostało ich bardzo niewiele. I tak, jak wedle Marksa warunki bytowania kształtowały świadomość klas społecznych, tak przyrodnicze otoczenie ma istotny wpływ na postawy ludzi. Dlatego na Starym Kontynencie mamy ekologów zajmujących się wszystkim, co uda się podciągnąć pod „przyjazny środowisku styl życia”. Pod tym szyldem mieści się mnóstwo postaw – inna rzecz, że także takie, które wbrew pozorom na pewno nie są faktycznie przyjazne temuż środowisku. Trudno bowiem za nieszkodliwe dla ekosystemu uznać np. niepojętą konsumpcję „zielonych” produktów czy diety co prawda bezmięsne, ale oparte w znacznej mierze na produktach przewożonych przez tysiące kilometrów.

Tymczasem w USA istnieje dość wyraźny - choć oczywiście obie grupy częściowo się przenikają - podział na „obrońców dziczy” i „environmentalistów”. Pierwsi też mogą np. nie jeść mięsa, ale nikt w ich kręgu nie udaje, że warunki egzystencji hodowlanych kurczaków są równie istotnym problemem, jak ostatnie ginące drapieżniki czy niszczone siedliska. Przeciwnie, wyraźnie zarysowana jest hierarchia ważności różnych problemów i działań.

W Polsce przejęliśmy pochopnie i bez refleksji ów model „europejski”, choć stan naszej przyrody powinien skłaniać do - chyba pierwszy raz byłoby to naprawdę wskazane - „amerykanizacji”. Do jednego worka z napisem „ekologia” wrzuca się więc obronę Tatr, uprawianie kiełków, zbieranie śmieci w miejskim parku, dokarmianie kotów, podziwianie wiejskich chałup, przechadzki z leśnikami po „ścieżkach dydaktycznych” itd.

Do tego dochodzi komercyjne i medialne spłylenie i wypranie z wszelkich głębszych treści słowa „ekologia”. Ekologiczne samochody, ekologiczne hipermarkety, ekologiczne proszki do prania. Faktycznie, wszyscy jesteśmy ekologami, bo to nic nie kosztuje.

Doprawdy, nie jest mi z tym ani trochę po drodze.

Remigiusz Okraska